

RAFAŁ
SKARZYCKI

NAJSŁABSZE OGNIWNO



Autor: Rafał Skarżycki

Ilustracje: Tomasz Lew Leśniak

Wydawca: Instytut Matki i Dziecka

ISBN: 978-83-88767-85-2

Patronat merytoryczny



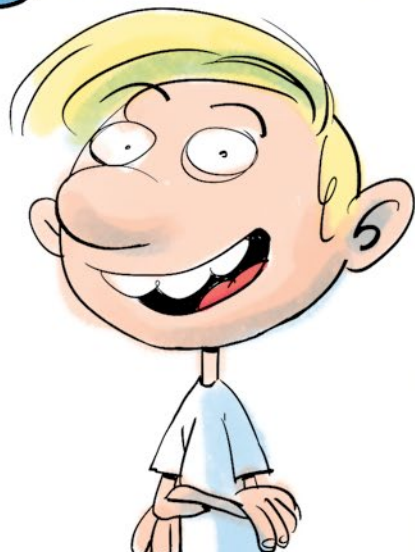
Publikacja sfinansowana z funduszy Komisji Europejskiej w ramach programu Erasmus+
Publikacja została zrealizowana przy wsparciu finansowym Komisji Europejskiej. Publikacja odzwierciedla jedynie stanowisko jej autorów i Komisja Europejska oraz Narodowa Agencja Programu Erasmus+ nie ponoszą odpowiedzialności za jej zawartość merytoryczną.

PUBLIKACJA BEZPŁATNA



NAJSKĄBSZE OGNIWO

NAPISAŁ
RAFAŁ
SKARZYCKI



ZILUSTROWAŁ
TOMEK LEW
LEŚNIAK

Lańcuch jest tak silny, jak mocne jest jego najsłabsze ogniwo. Nie ja to wymyśliłem, tak po prostu jest. Fakt, że mam dwanaście lat i wiem takie rzeczy dowodzi jedynie, że kumaty ze mnie człowiek. Z szerokimi horyzontami. Chociaż ostatnimi czasy na horyzoncie widzę tylko jedno: puchar za zdobycie pierwszego miejsca w międzyszkolnym turnieju piłki nożnej. Jeśli pomyśleliście, że jestem kapitanem szkolnej drużyny, to możecie zanotować sobie, że też należycie do lebskich gości. Mam na imię Kuba, kapitanem zostałem już w zeszłym roku, w drużynie gram od czwartej klasy, od początku jako środkowy napastnik. Co jeszcze o mnie? Uczę się w porządku, szalu może nie ma, ale nigdy,



powtarzam, nigdy nie musiałem martwić się o promocję do następnej klasy – chociaż na początku szkoły sporo zajęć opuszczałem. Tak było, nie ma co drażnić dlaczego. Generalnie przyzwoite wyniki w nauce to po części zasługa moich rodziców, z którymi zawarłem prosty układ: jak długo nie ma problemów z nauką, tak długo mogę poświęcać tyle czasu na piłkę nożną, ile mi się tylko podoba. Fajny układ, co nie? Głupotą byłoby go zepsuć. Nie piuję się więc na piątki i szóstki – solidne czwórki, a czasem trójki, których żadna siła we wszechświecie ruszyć nie da rady, to w zupełności wystarcza, abym mógł dowolnie długo doskonalić strzał nad murem w samo okienko bramki, albo drybling między pacholkami. A odkąd zostałem kapitanem trenuję jeszcze więcej – muszę dawać przykład chłopakom. Jak mógłbym wymagać od nich, żeby wyciskali siódme poty na treningu, kiedy sam ćwiczylbym na pół gwizdka? O tym, że moje podejście do sprawy jest słuszne, przekonałem się już w zeszłym roku. Drużyna wspięła się na wyższy poziom i po raz pierwszy w historii rozgrywek awansowaliśmy do fazy pucharowej. Byliśmy o włos od ćwierćfinału. Odpadliśmy po serii rzutów karnych, które jak wie każdy fan futbolu, są jedną wielką loterią.



Krótko mówiąc do zdobycia medalu zabrakło nam nie umiejętności, ale odrobiny szczęścia. Dlatego moje tegoroczne marzenie o zdobyciu pucharu, to nie są jakieś mrzonki, ale całkiem realny cel. Cel, dla którego warto dać z siebie absolutnie wszystko. Piłka nożna, to sport zespołowy, więc chyba wszyscy rozumiecie dlaczego na moim celowniku znaleźli się nie liderzy, czy przeciętniacy w naszej drużynie, ale ci, którzy są najsłabsi. Drużyna jest jak łańcuch, prawda? A łańcuch:

– ...jest tak silny, jak jego najsłabsze ogniwo – Janek przewrócił oczami, jakby mu się głowie zakręciło. – Powtarzasz nam to, od początku sezonu.

– No, właśnie – wykorzystałem okazję, żeby przekuć prztyczek Janka na własną korzyść. – Powinniście już się tego nauczyć.

– Ale co to ma do rzeczy? – Janek wciąż nie rozumiał. Spojrzał na pozostałych chłopaków. Oni też miny mieli nie tęgie.

– Jak to, co? Musimy po prostu cały czas dbać o to, żeby nawet nasi najgorsi gracze byli w topowej formie.

– A tak nie jest? – Janek nie ustępował.

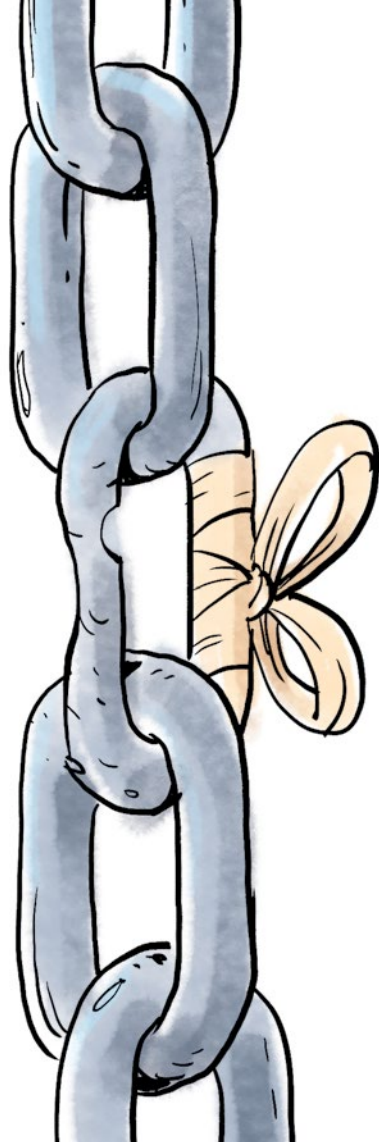
– Jest.

- Więc w czym problem? - Janek rozłożył ręce.
- I co to ma do przyjęcia nowego zawodnika?

Nabrałem powoli powietrza, a chwilę później jeszcze wolniej je wypuściłem. Czy naprawdę trzeba tłumaczyć sprawy oczywiste? Że nie możemy przyjmować do drużyny „jak leci”? Że jeśli już kogoś przyjmujemy, to musi to być wzmocnienie, a nie osłabienie? Że nie potrzebny nam gracz słabszy od naszego najsłabszego, bo sama jego obecność w składzie, nawet rezerwowym oddala nas od celu? A cel jest jasno określony – puchar ma być nasz.

- Po prostu musimy trzymać poziom, jeśli chcemy wygrywać – powiedziałem jak najspokojniej potrafiłem.

- Wiktor jest rekordzistą szkoły na sześćdziesiąt metrów – Janek nie ustępował. – Moim zdaniem z nim w składzie poziom naszej drużyny podniesie się.

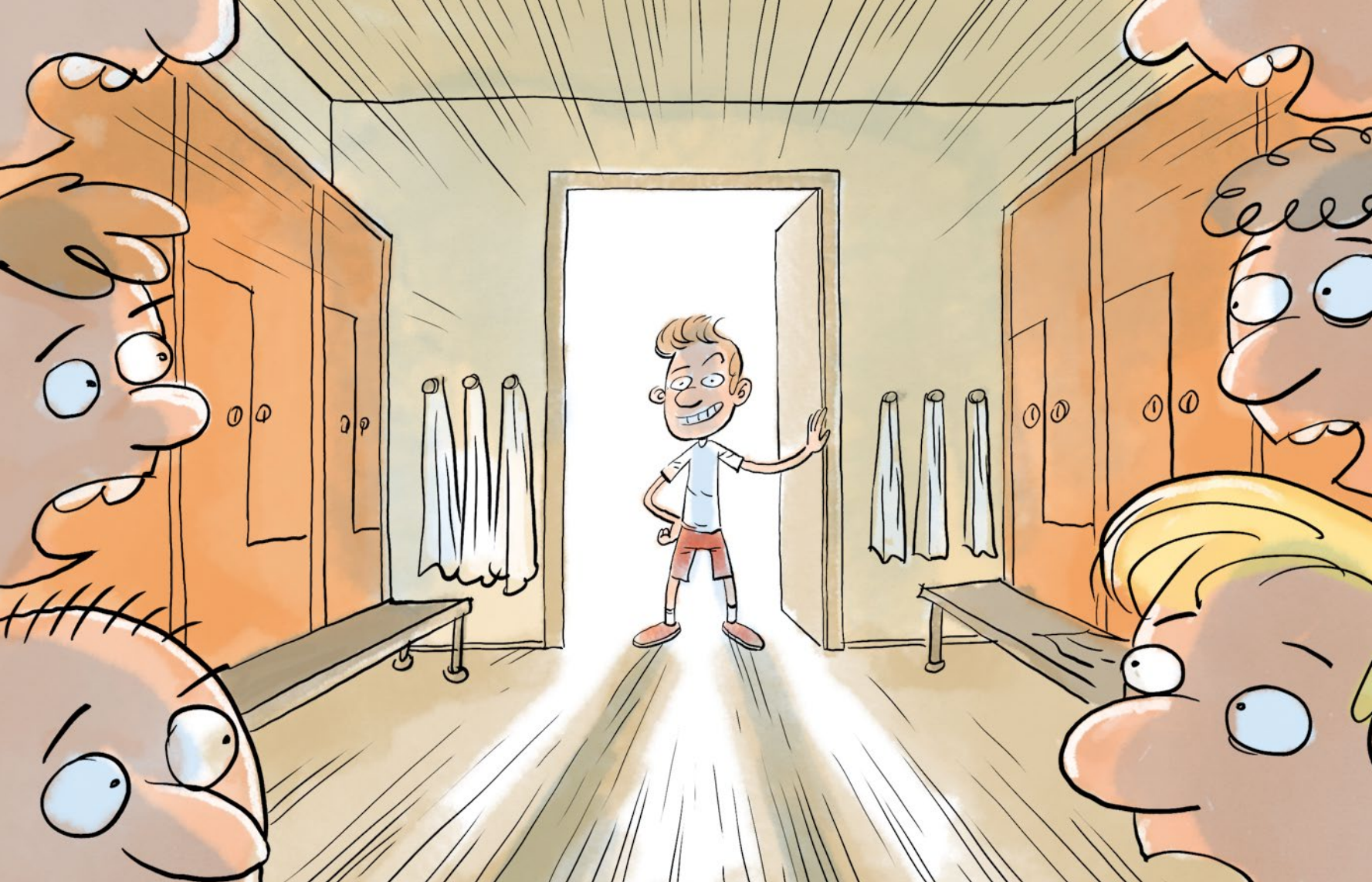


Reszta chłopaków pokiwała głowami. Musiałem reagować szybko – to pachniało buntem na pokładzie, a jako kapitan nie mogłem dopuścić do czegoś takiego. Nie przed pierwszym meczem fazy pucharowej (z grupy wyszliśmy z kompletem punktów).

– To niech się zgłosi do zawodów sprinterskich. Piłka nożna to coś więcej, niż szybkie bieganie. Poza tym, liczy się jak szybko potrafi biegać z piłką przy nodze.

– Niewiele wolniej – wszyscy się odwrócili w stronę wejścia do szatni. W drzwiach stał Wiktor. Piątoklasista, nawet nie szczególnie wyrośnięty, z gęstą czupryną jasnobrązowych włosów i lekko krzywymi nogami. To ostatnie, to nie jakaś wielka wada, umówmy się, wielu znakomitych piłkarzy ma nogi „prostowane na becze”. Trzeba przyznać, ma chłopak tupet, tak wpakować się na zebranie rady drużyny. – Na pewno szybciej, niż ktokolwiek z obecnego składu. Ale nie musisz wierzyć mi na słowo. Chodźmy na boisko, sam się przekonasz, kapitanie.

Poczułem na sobie ciężar spojrzeń wszystkich chłopaków. Cóż, jeśli coś brzmi, jak wyzwanie, to zazwyczaj jest wyzwaniem. Musiałem podnieść rękawicę.



- Okej, chodźmy na boisko. Ale żebyśmy mieli jasność – stuknąłem palcem w ramię Wiktora. – Nie będzie drugiej szansy.

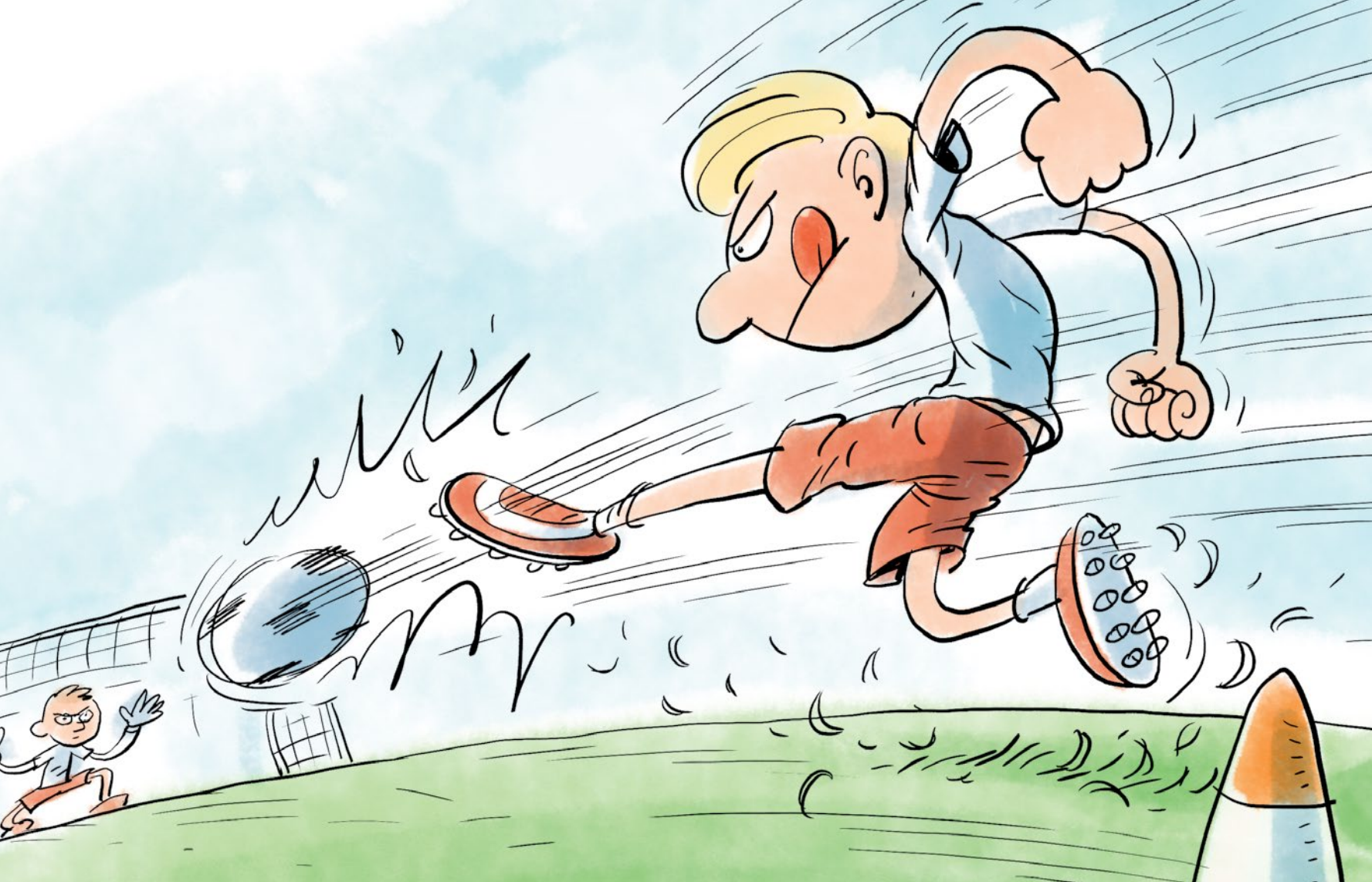
- Jasna sprawa – Wiktor wyszczerzył zęby w uśmiechu. Rety! Ten chłopak ma jeszcze sporo mleczaków, a chce grać w naszej drużynie!

Ustawiłem pachołki na połowie boiska, postawiłem na bramce Janka. Najpierw pokazałem, co trzeba zrobić – przebiegłem slalomem między pachołkami z piłką przy nodze, po wyjściu na prostą kropnąłem z całej siły. Piłka zatrzepotała w siatce.

- Twoja kolej – rzuciłem w stronę Wiktora. Młody, o dziwo, nie wyglądał na zdenerwowanego. – Start! – Krzyknąłem i włączyłem stoper. Wiktor pędził jak sam diabeł. Prawie muskał pachołki, kiedy je mijał! Gdzie on się nauczył tak grać? Zaraz po minięciu ostatniego pachołka strzelił – nie miał tyle mocy w nodze, co ja, za to podkreślił piłkę tak, że zmyliła kompletnie Janka i wpadła do bramki. Spojrzałem na stoper.

- I jak, kapitanie? – Wiktor patrzył wyzywająco w moją stronę.

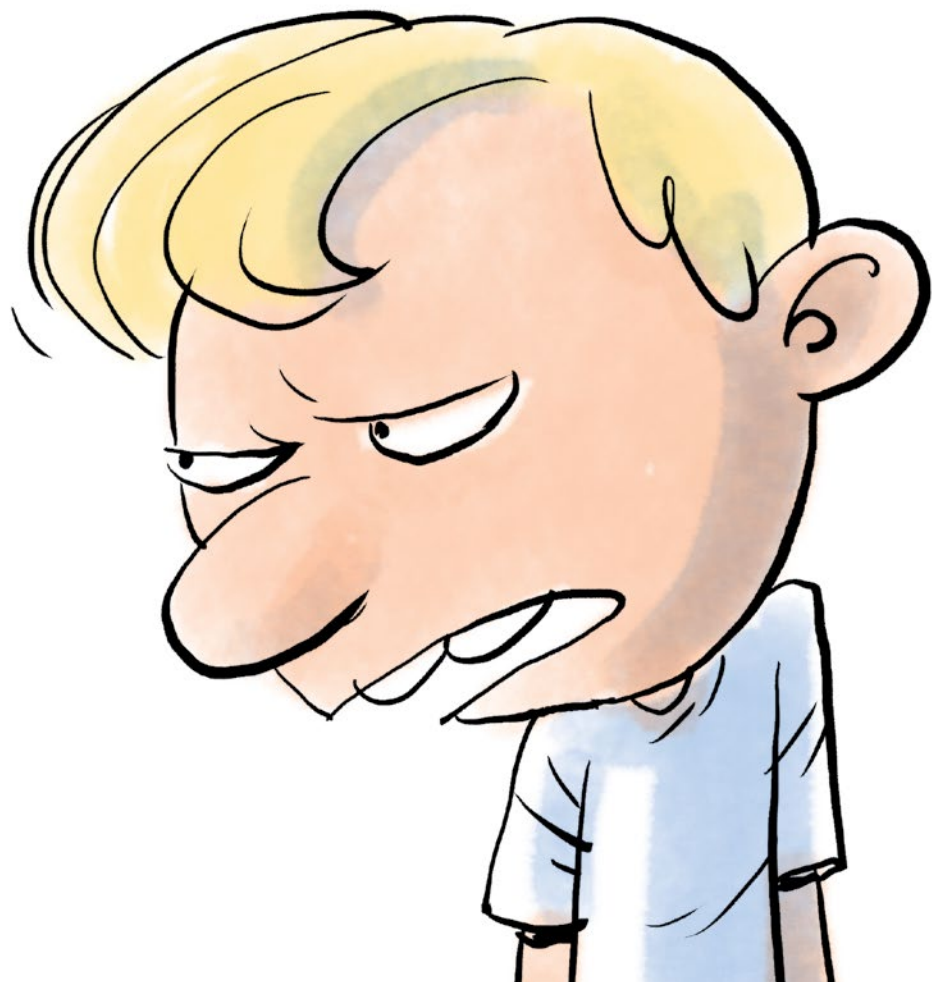




Przebiegł tor i oddał celny strzał pięć sekund szybciej ode mnie. To był absolutny rekord drużny.

– W porządku – rzuciłem i wyzerowałem stoper, zanim ktokolwiek z chłopaków podejrział wynik. Zobaczymy jak radzisz sobie z rzutami wolnymi. Ustawiłem mur z naszych obrońców. Zasady były proste – każdy z nas miał dziesięć strzałów. Umowa z Jankiem była taka, że za każdy wpuszczony strzał robi pięć pompek, z kolei każdy obroniony to dziesięć pompek do zrobienia dla strzelającego. Wbiłem siedem goli na dziesięć strzałów. Wiktor trafił dziewięć razy. Chłopaki wiwatowali i skoczyli ściskać go najmocniej, jak



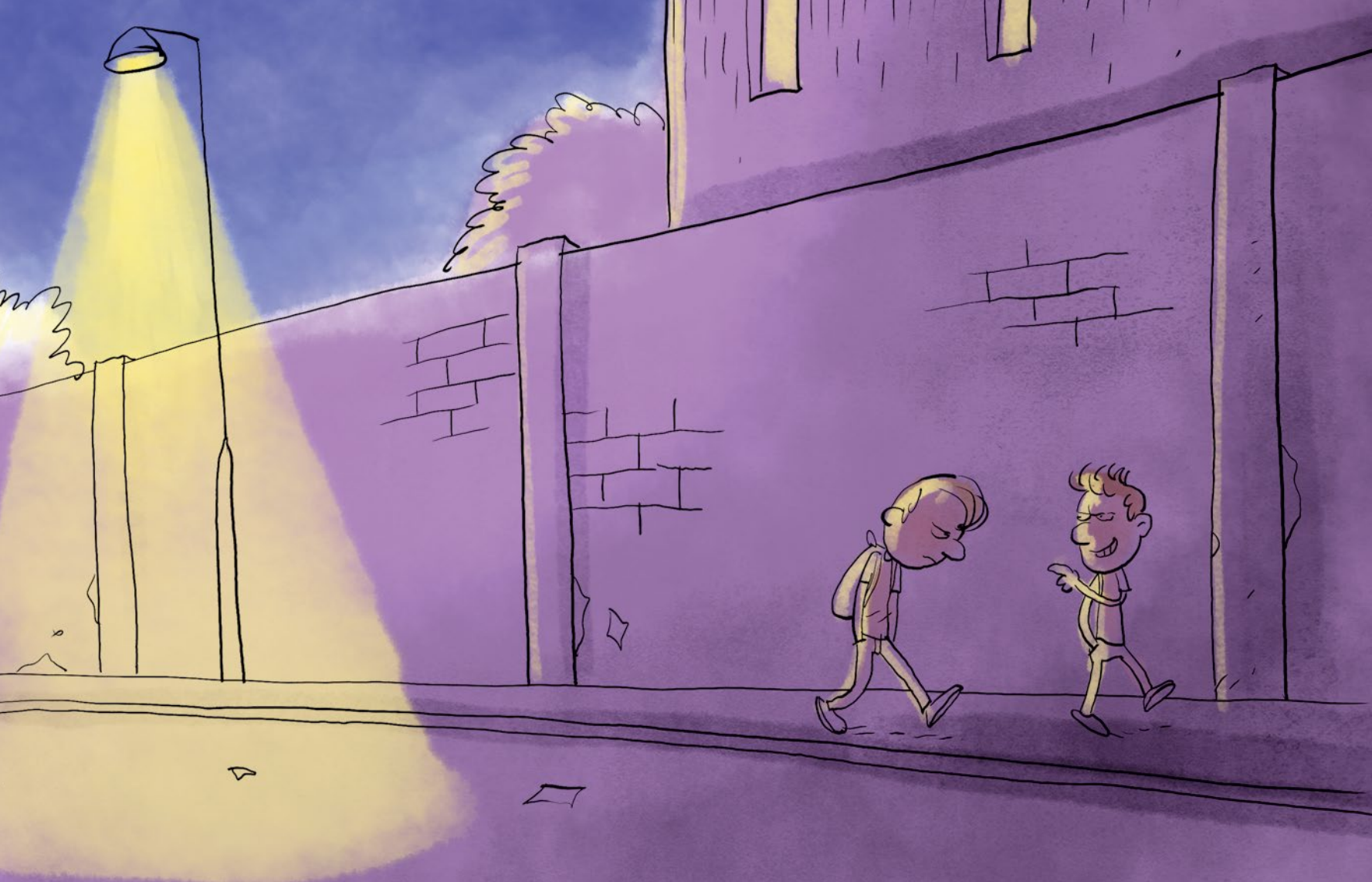


się dało. Nawet Janek, którego czekał przecież niezły wysiłek.

– No, to mamy nowego nastpnika! – Cieszyli się, a mnie wcale nie było do śmiechu.

– Pofarciło ci się z tymi strzałami – rzuciłem obojętnym tonem. – Musisz popracować nad siłą, bo w prawdziwych meczach tak lekkie strzały nie zamieniają się w gole.

Wróciłem do szatni. Wziąłem prysznic i przebrałem się zanim reszta drużyny wróciła. Nie miałem ochoty na rozmowy. Chciałem być już w domu. Choć



szedłem szybko, nie przebyłem nawet połowy drogi, gdy dogonił mnie Wiktor. Trzeba przyznać, knypek szybki jest.

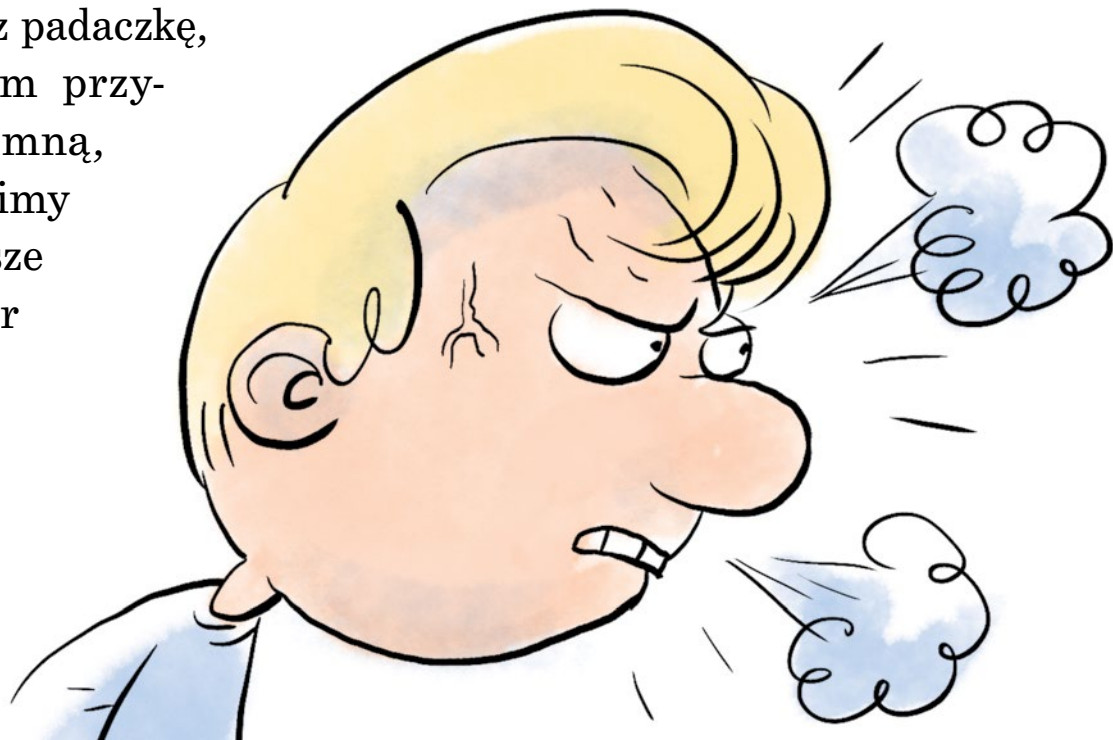
- Słyszałem, co mówiłeś o tym, że drużyna jest jak łańcuch.
- Yhy – mruknąłem, bo nie miałem ochoty na rozmowę. Wiktor nie odpuszczał.
- Też tak uważam.
- To super. Taka jest nasza filozofia. W sensie, że tak myślimy o tym, jak to powinno być zorganizowane – dodałem, bo w sumie piątoklasista miał prawo nie wiedzieć, co to filozofia.
- Szkoda tylko, że się do tej filozofii nie stosujecie – Wiktor uśmiechnął się i nie był to przyjazny uśmiech. – Bo niby jak macie wygrać puchar, kiedy nie dość, że trzymacie w zespole kalekę, to jeszcze jest on jedynym napastnikiem i kapitanem drużyny.

Aż stanąłem z wrażenia. On naprawdę to powiedział? Wiktor patrzył mi prosto w twarz. Oczy zaszły mi mgłą. W brzuchu zagotowało się. Policzki paliły żywym ogniem. Oddech świstał.

- Co jest, kapitanie? - Spojrzenie Wiktora było lodowate jak igła wyjęta z zamrażalnika. - Zacznesz się trząść? Dostaniesz ataku? Wzywać karetkę?

Wiktor rozłożył ramiona, wykrzywił usta i przez kilka sekund się trząsł. Kiedy przestał wysyczał:

- Nie wiem jakim cudem reszta zespołu zapomniała, że masz padaczkę, ale chyba trzeba im o tym przypomnieć. Zgodzisz się ze mną, kapitanie? W końcu musimy wiedzieć, jak mocne jest nasze najsłabsze ogniwo. - Wiktor zarechotał, a potem odszedł pogwizdując wesoło. Skąd się dowiedział o mojej chorobie?! Nigdy nie miałem ataku w szkole. Od dwóch



lat nie miałem w ogóle ataku! Moja choroba jest, jak to mówią lekarze, w pełni ustabilizowana. Mogę robić wszystko, no prawie wszystko to, co inni. Z całą pewnością mogę grać w piłkę! Ja to wiem, ale... co na to reszta drużyny? W końcu

nie kto inny, a ja tłumaczyłem im od początku tego sezonu, że musimy mieć naszych najsłabszych graczy pod szczególną obserwacją i, tak... w razie potrzeby musimy się z tymi zbyt słabymi rozstać. Drużyna jest tak silna, jak najsłabszy gracz. W tym momencie to... ja.

Tej nocy nie spałem dobrze. Rano czułem się okropnie. Najchętniej zostałbym w domu, ale



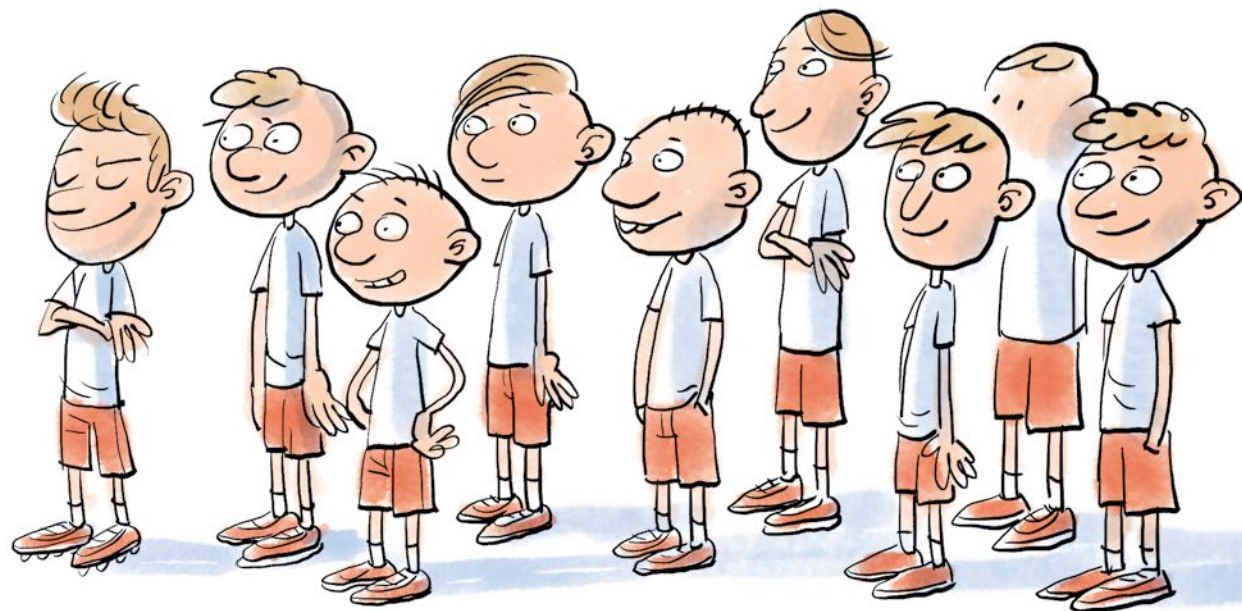
to tak naprawdę niczego by nie załatwiło. Musiałem stawić temu czoło, musiałem zachować się, jak na kapitana przystało. Nie było innego wyjścia – trzeba było iść do szkoły, a po lekcjach, pójść do naszej szatni i przed treningiem powiedzieć chłopakom, że odchodzę. Tak też zrobiłem.

– Dla dobra drużyny – zakończyłem moją krótką przemowę, w której przypomniałem, że choruję na padaczkę, która nie sprawia oczywiście, że jestem kaleką



- zapamiętałem przytyk Wiktora i postanowiłem rozprawić się z tą bzdurą – w dodatku w tym momencie mojego leczenia ryzyko ataku choroby jest praktycznie zerowe, ale... cóż, nie mogę ukrywać, nie jestem w pełni zdrowy. Wiktor wyglądał, jakby trafił los na loterii. Chłopaki patrzyli sobie na buty. Pierwszy odezwał się Janek:

- Wiktor przypominał nam o twojej chorobie już wcześniej – nie miałem złudzeń, że było inaczej. Jak tylko wszedłem do szatni widziałem to w ich oczach.



- Mieliliśmy trochę czasu, żeby to przegadać w czasie przerw między lekcjami. Pokiwałem głową. To jasne.

- Cieszę się, że się rozumiemy – wcale się nie cieszyłem, ale co innego mogłem powiedzieć?

- Myślę, że nie do końca – Janek spojrzał mi w oczy. Okej, czyli jednak nie obejdzie się bez wyrzutów. – Doszliśmy do wniosku, że nie masz racji.

Nie zapanowałem nad miną, bo Janek błyskawicznie zorientował się, że nie mam pojęcia o czym mówi.

- Drużyna jest jak łańcuch, kapitanie. Ale nie taki, o którego sile decyduje najsłabsze ogniwo. Drużyna jest tak mocna, jak silna jest przyjaźń, która ją spaja. A bylibyśmy beznadziejnymi przyjaciółmi, gdybyśmy pozwolili ci odejść.

- Co takiego?! – To Wiktor aż podskoczył ze swojej ławki. – Co to za bzdury? Tu nie ma miejsca dla słabych. Mogą grać tylko najlepsi!

- Kuba nie jest słaby – na twarzy Janka pojawiły się czerwone plamy, po czym poznałem, jak bardzo się wkurzył. – Możesz biegać najszybciej w szkole,

ale jeśli nie rozumiesz, czym jest drużyna i czym jest przyjaźń, to biegaj sobie sam po bieżni.

– Będziecie tego żałować! – Wysyczał Wiktor i wybiegł z szatni. Bardzo szybko, trzeba przyznać, że to potrafi.

Chciałem coś powiedzieć, ale w gardle mi zaschło, a w dodatku jakaś niewidzialna ręka ścisnęła mi krtań, w oczach czułem niepokojącą wilgoć. Janek nie pozwolił mi się rozkleić. Pacnął mnie mocno w ramię.

– No, kapitanie! Przebieraj się, zaraz zaczynamy trening!

Zebrałem się w sobie, przebrałem, a później... to był najlepszy trening w moim życiu. Jeszcze nigdy gra nie sprawiała mi takiej przyjemności. I wiecie, co? Ten moment, kiedy chłopaki mnie nie opuścili, pozwolili mi być jednym z nich, tak po prostu, to był najszcześniejszy moment. O wiele szczęśliwszy, niż zdobycie upragnionego pucharu. A wiem, co mówię, bo w finale rozgrywek wygraliśmy dwa do jednego.

